№ 3. Warszawa, dnia 4 (16) Stycznia 1884 r. Tom XX.—Rok XIX.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr 5. rocznie rsr 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent 50
W W Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal pr sgr 20.

POGAWEDKA.

Roztańczono się na zabój, jak było do przewidzenia i jak trafnie przepowiadali wróżbici karnawałowi.

Popielec wprawdzie jeszcze daleko, ale życie ucieka, a każda uciecha tem milsza, im mniej na siebie czekać każe.

Balujemy tedy i bawimy się, jak za najlepszych czasów, jakbyśmy opływali we wszystko i pieniądze całemi worami zwozili do domów.

Bóg raczy wiedzieć, co za szczególniejsza mania zrodziła się u nas do urządzania wieczorów kostiumowych; weszły one teraz w modę w Warszawie i należą do szyku.

Ludzie przebierają się i udają cudzoziemców, nietylko z języka.

Francuzczyzna, brzydkim zwyczajem, ciągle jest żargonem naszych salonów i ruguje polski, a tak piękne słowo z towarzyskiej rozmowy, jakby ono nie godne było myśli i ust, które się go wyrzekają.

Przypuszczamy, że chyba rzecz się ma na odwrót....

Należymy pod tym względem do niepoprawnych i—bezwstydnych, bo od stu lat przeszło, pozwalamy sobie wyrzucać jednę i tąsamą wadę, nie mogąc, czy nie chcąc się z niej wyleczyć.

Bierzemy za złe obcokrajowcom i cudzoziemcom, że żyjąc wśród nas i naszym chlebem, nie nauczyli się naszego języka, — a sami wyrzekamy się go dobrowolnie.

Po co Niemiec czy Francuz ma się uczyć popolsku w Warszawie? — czy po to, aby z nim w „lepszem towarzystwie“ rozmawiano.... pofrancuzku?

Co do kostyumowych balów, dałoby się kilka złośliwych uczynić uwag. Uważamy je za zbytek w naszych warunkach i za marnotrawstwo. Suknia balowa da się użyć z pewnemi zmianami nawet kilka razy; kostyum musi być i kosztowny i wystawny, a służy na raz, aby zabawić oko i słusznie podnieść wdzięk właścicielki swojej.

Zresztą nie chodzi już dzisiaj o to tylko, aby być *ładnie* ubraną, ale *ładniej* od innych koniecznie i w tej konkurrencyi zbytku i wystawności, idzie się aż do karygodnej przesady.

Moda strojenia się bogato sięga teraz i poza one granice, u których świeżość naturalnych wdzięków i sam urok młodości wystarczał za wszelkie inne ozdoby.

Panny idą o lepsze z mężatkami pod względem toalet wystawowych i ubierają się w przeróżne a kosztowne kombinacye materyi, drwiąc z dawnej muślinowej tradycyi, którą pozostawiły ich matki i babki z wiosny swego życia.

Słusznie odezwał się jakiś obserwator w *Kuryerze Warszawskim*, że owe zbytki i przesada w strojach kobiecych wpływać muszą ujemnie na przyszłe związki matrymonialne, bo owe kosztowne piórka naszych kolibrów salonowych, zamiast przynęcać, odstraszają raczej ostrożnych i przewidujących konkurrentów.

Jak tu się odważyć na małżeństwo człowiekowi średnio-zamożnemu, jeżeli same suknie przyszłej żony, przyzwyczajonej od podlotka do wystawności—pochłaniać mogą połowę dochodów.

Młodzież dziś na tym punkcie wytrzeźwiała, nie idzie z zamkniętemi oczyma do ołtarza, oblicza, rozumuje i kombinuje, a rezultat z tego taki, że albo nie żeni się wcale, albo szuka koniecznie posagu, i to dużego, jako assekuracyi przyszłości, której wszystkim wymogom i obowiązkom własnemi środkami zadosyć uczynić-by nie mogła.

W sprawie małżeństw dzisiejszych dostało nam się w *Kuryerze Codziennym* słówko nagany od pani Lucyny C., „która w obronie wielu matek“ wystąpiła z odparciem zarzutu, jaki uczyniliśmy systematowi fizycznego wychowania panien u nas.

Szanowna interlokutorka zwraca uwagę, na „odwrotną stronę medalu“ i pyta: „Kiedyż się dziś panowie żenią? wtedy, gdy zdrowie i młodość, a razem z nią świeżość uczucia, oddali już innym kobietom, nie żonom!“

Zapewne, i to uwaga, nie pozbawiona racyi, opartej na przykładach z życia, ale szanowna „obrończyni matek“ nie uwzględnia, że stosunek zwichniętej równowagi w małżeństwach z przyczyny mężów, bywa owiele mniejszy, niż z przyczyny żon młodych, które przed zamążpójściem, rzeczywiście pozorami zdrowia przypominają „rozkwitające z pąka róże, a w pół roku po ślubie już są zdenerwowane, osłabione, wynędzniałe i potrzebujące gwałtownie wzmacniającej kuracyi kobiety“, jak to sama pani C. przyznaje.

Trudno nam wyrozumieć, w czem właściwie interlokutorka nasza upatruje przyczynę takiego nadwątlenia zdrowego normalnie organizmu, gdyby go nawet upatrywała w owym mężu, już.... nadwiędłym fizycznie i moralnie, to i tak obciążyłaby tylko nasz zarzut złego wychowywania—nierozwagą rodzicielską, która pozwala matkom powierzać swe córki konkurrentom, niedającym rękojmi fizycznego i moralnego zdrowia.

Toż stokroć łatwiej ocenić przyszłego męża pod temi warunkami, aniżeli przyszłą żonę i matkę, zamkniętą w tajemniczym pąku panieństwa.

Temat to zresztą za szeroki do zwyczajnej pogawędki, zwłaszcza gdy się ma tyle jeszcze innych przedmiotów do poruszenia. Może go znajdziemy obszerniej rozwiniętym w dziele p. F. Stantona, pod tytułem: „Kobieta XIX wieku“, które w dwóch tomach zapowiedziała paryzka księgarnia Fischbacha, a w którem i Polki znajdą osobny sobie poświęcony rozdział, napisany wytrawnem piórem Elizy Orzeszkowej.

Dowie się może z niego zagranica między innemi, jak trudne i ciężkie są u nas warunki samo-

dzielnej exystencyi dla kobiet, w porównaniu z innemi społeczeństwami cywilizowanemi.

W walce o byt marnuje się mnóztwo sił i zdolności kobiecych; poza domem i rodziną niema u nas jeszcze wiele pola do produkcyjnej pracy dla kobiet, a i te stanowiska, które się z czasem wytworzyły, są z powodu nadmiernej konkurrencyi prawie niedostępne.

Do jednej z nowopowstałych pracowni, zajmujących same pracownice, zgłosiło się w kilku dniach przeszło 40 zupełnie uzdolnionych kandydatek, a do wszystkich niemal drzwi pracodajnych puka z prośbą o zajęcie mnóztwo rąk sióstr naszych i pukają najczęściej—napróżno.

Z rozwinięciem przemysłu przybędzie zapewne trochę więcej pola dla działalności kobiecej w praktycznem znaczeniu: dlatego z radością witamy wszelkie starania w tym względzie, jakie się w naszem społeczeństwie rozbudzają, własną czy obcą inicyatywą.

Oto wspominaliśmy o projekcie założenia Muzeum mleczarskiego, któreby się przyczyniło do podniesienia gospodarstwa nabiałowego w kraju, przeważnie zostającego w rękach kobiecych.

Muzeum takie do skutku nie doszło, ale w pewnym stopniu zastąpi je biuro mleczarsko-techniczne, które otwiera w Warszawie Dr K. A. Lesser; ma to być zakład pośredniczący i przyuczający w zakresie mleczarstwa, podający wskazówki, rady i informacye w tej gałęzi gospodarstwa wiejskiego.

W Czerwcu znów rozstrzygnąć się ma, podczas zjazdu ziemian naszych, sprawa proponowanego Stowarzyszenia zachęty hodowli drobiu.

Wiadomo, jak stosunkowo mało u nas dział ten jest uprawiany, ile pieniędzy zabiera nam zagranica za smakowite ptactwo, które inni hodują a my—zjadamy tylko.

Wspomniane Towarzystwo mogłoby rozwinąć tę gałąź zyskowną a mało przez nas wyzyskiwaną gospodarstwa i handlu.

Poza drobiem zresztą, ileż jeszcze innych lekceważonych specyalności, mogłoby przynosić gospodarstwom naszym dochód?.

Professor Nowicki w *Gazecie lwowskiej* zwrócił niedawno uwagę na korzystną, a tak mało rozwiniętą u nas, hodowlę raków. Przysmak ten, chętnie poszukiwany za granicą we Francyi i w Niemczech, mógłby być zyskownym towarem wywozowym; uczony przyrodnik podaje nawet adres agencyi, które się do niego zgłaszały z zagranicy z zapytaniem: gdzie i kto mógłby się podjąć dostawy żywych polskich raków, smakoszom niemieckim i francuzkim.

Dobra inicyatywa w danej chwili wiele znaczy; mamy tego przykład na naszem Muzeum Pszczolniczem, które wydawało się pewnym niedowiarkom tylko przyjemną zabawką, a dzisiaj nietylko nader korzystny i zachęcający wpływ wywiera na podniesienie w kraju upadłego pasiecznictwa i pszczolarstwa, ale już i dywidendę swoim akcyonaryuszom przynosić zaczyna.

Piękny przykład dobrego zrozumienia pożytków z najmniejszej rzeczy dała w tych dniach hr. Augustowa Potocka, która odniosła się do Muzeum na Koszykach z prośbą, o urządzenie w jej dobrach, a mianowicie w Willanowie, wzorowej pasieki w ten sposób, aby okoliczni włościanie uczyć się w niej mogli także pszczolnictwa i na wzór jej zakładali swoje własne gospodarstwa pszczolnicze.

Przykład takiej pani i obywatelki powinienby oddziałać zachęcająco na inne.

Zamknęliśmy się tak ściśle w kółku praktyczności życiowej, że prawie nic nie zostało nam miejsca na sprawozdanie, chociaż pobieżne, z ruchu naszego artystycznego.

A przecież zanotować przedewszystkiem powinniśmy fakt niecierpliwie oczekiwany: otwarcie odbudowanego po pożarze Teatru Rozmaitości.

Pierwsze przedstawienie odbyło się we Wtorek. Jeżeli niema złego, coby na dobre nie wyszło, to przyznać trzeba, że złe ostatniego pożaru zmieniło się w bardzo dobre skutki dla spalonego teatru.

Scena i widownia zyskały wiele na restauracyi pod względem bezpieczeństwa, wygody i estetyki.

Wentylacya urządzona w całej sali i na kurytarzach, uchyli jednę z najfatalniejszych wad dawnego teatru, zmieni to zwrotnikowe gorąco, które dokuczało zarówno publiczności, jak artystom.

W nowej świątyni Melpomeny zaczęła się tedy nowa era dla komedyi i dramatu naszego, któremu dla towarzystwa dodano — Bóg wie na co — operetkę, poświęcając jej jeden dzień w tygodniu, mianowicie Piątek, na odbudowanej scenie.

Czyżby w Teatrze Małym już za ciasno było wesołej muzie Offenbachów, Lecoq'ów i Audran'ów?

Wystawy nasze stały się popisem konkursowym artystów-malarzy, rzeźbiarzy i architektów. Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych urządziło expozycyą dzieł konkursowych bez danego tematu w nowym lokalu, nagrodziwszy srebrnym medalem akwarelle J. Fałata i zaszczytną wzmianką obraz Kurelli; w Ratuszu zaś otwarto wystawę planów na rozszerzenie kościoła Św. Alexandra w Warszawie, co pozwala wróżyć pomyślnie o rychłem załatwieniu tej kwestyi, odkładanej tak długo z porządku dziennego.

Ale cierpliwość zawsze zwycięża...

DO MŁODOŚCI

(z cyklu pieśni: „**W przyrodzie**")

przez

WACŁAWA HALKA

przełożył z Czeskiego **Miriam**.

Tyś jak majowe niebiosy:
Mrok spada, ciepło, pogoda;
Ziemia tchnie kroplami rosy—
Duszo młoda!

Ty za siostrę masz tę ziemię;
Gwarzy z tobą las i woda;
W tobie śpiew, gdy wszystko drzemie—
Duszo młoda!

Wszystko dla cię czarujące,
Wielkie, święte—miłość zgoda;
Myśl twa płonie, jako słońce—
Duszo młoda!

O! ty masz moc wielką jedną,
Że współczuje ci przyroda,
Gdy się smucisz—gwiazdy bledną—
Duszo młoda!

Tyś potężna! Na twe słowo
Wzrośnie kwiecie, kłos, jagoda,
Błysną światy gwiazd nanowo—
Duszo młoda!

KRÓL AGIS,

DRAMAT HISTORYCZNY W 3 ch AKTACH

przez

JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Ze zbiorów rękopiśmiennych Biblioteki Ossolińskich

podał

Henryk Biegeleisen.

((Dalszy ciąg).

Wykonaniu planów szlachetnego króla stanął w drodze Agezylaus, człowiek słabego charakteru i chciwy pieniędzy. Posiadając piękny majątek ziemski, mocno zadłużony, przedstawił wymowny Efor swemu siostrzeńcowi, że należy przedewszystkiem znieść wszystkie długi, co zjedna dla planu reformy zadłużonych posiadaczy ziemskich. Zebrano tedy wszystkie wexle, rewersa i tympodobne zapisy i spalono je publicznie na rynku, wśród powszechnej radości dłużników. Z podziałem gruntu, którego się teraz domagano, zwlekał Agezylaus aż do wiosny 241 r., to jest do napadu Etolów na Peloponez, kiedy zagrożony Związek Achajski, z Aratusem na czele, poprosił pomocy u Spartan, swoich sprzymierzeńców. Wówczas wyruszył Agis na czele oddanego mu wojska, podziwianego u sąsiadów z karności i dobrego zachowania. Sam król, w prostym ubraniu i w zbroi szeregowca, wzbudzał wielkie uszanowanie. Atoli wódz achajski nie dopuścił do otwartej walki z nieprzyjacielem, a króla Agisa odesłał, z zazdrości czy z wyrachowania politycznego—do domu. Wśród ogólnego zdumienia wrócił Agis do Sparty, gdzie się już przygotowywały zmiany na horyzoncie politycznym. Agezylaus, uwolniony od długów, ciągnął tylko zyski ze swego położenia, dodał nawet jeden miesiąc w roku, aby powiększyć dochody z podatków. Ale absolutne rządy spowodowały jego upadek. Oligarchia skupiła swe siły, powołała na tron Leonidasa z Tegei, a lud pozbawiony nadziei podziału gruntów, wywrócił dawny rząd. Agezylaus ocalony przez walecznego syna, Hippomedona, ledwie uszedł potajemnie ze Sparty; Agis schronił się w świątyni Pallas Chalkioikos, Kleombrot w świątyni Neptuna. Leonidas srożył się najwięcej na swego zięcia Kleombrota, który go zrzucił był z tronu; osaczył go w świątyni i godził na jego życie. Ujęła się za nim Chelonis, córka Leonidasa, która opuściła była swego męża Kleombrota, gdy dzierżył tron spartański,—teraz, dzieląc jego smutny los, błagała w żałobnej sukni swego ojca, o łaskę dla męża. Leonidas darował mu życie, ale kazał opuścić Spartę. Szlachetna Chelonida poszła znów dzielić losy wygnania swego męża, którego nie opuściła więcej, mimo gorących próśb ojcowskich. Król Leonidas zwrócił się teraz na Agisa. Niemogąc go wydostać z świątyni, użył do tego jego przyjaciół: Amfaresa, Democharesa i Arcezylausa, którzy go często odwiedzali w świątyni i odprowadzali do kąpieli. Jeden z nich dał się nakłonić do zdrady, dla kosztownych sukni i drogich naczyń do picia, które przyniósł był Agisowi. Raz, kiedy król wracał z kąpieli, zaprowadzili go przyjaciele wśród wesołej rozmowy do wązkiej ulicy, zkąd go porwano do więzienia. Leonidas, obsadziwszy je wojskiem, zwołał na niego sąd. Kiedy go podczas rozprawy zapytał Efor, udając niby łagodność: czy nie dał się nakłonić do swej karygodnej działalności przez Lizandra albo Agezylausa?—odpowiedział szlachetny król stanowczo, że nie był przez nikogo zmuszonym. Na zapytanie: czy żałuje swoich czynów? odpowiedział śmiało, ale spokojnie, że od powziętych zamiarów nie odwiedzie go nawet śmierć; poczem skazali go Eforowie na powieszenie. Kiedy exekutorowie i najemni siepacze nie mieli serca przyłożyć ręki do wykonania niecnego czynu, pochwycił go przyjaciel i sam zaprowadził na miejsce stracenia. Przed więzienie zbiegł się tłum lud, a wpośród niego matka i babka traconego króla. Podły zdrajca zwabił jeszcze i te nieszczęśliwe ofiary do więzienia, pod pozorem odwiedzenia syna, któremu, jak zapewniał, nic złego stać się nie miało. Skoro tylko przestąpiły próg, zamknął za niemi więzienie i oddał obie w ręce kata.

Tak skończył szlachetny i wspaniałomyślny król Sparty, który zawinił chyba zbytnią łagodnością i zapałem dla dobrej sprawy, oraz nieograniczonem zaufaniem do przyjaciół, tak haniebnie nadużytem.

Zachodzi przedewszystkiem pytanie: zkąd zaczerpnął Słowacki osnowę do swego dramatu? Niewątpliwie z Plutarcha, którego używał zapewne w przekładzie albo w przerobieniu. Przypuszczenie, jakoby zasilał się dramatem Alfierego, albo używał innych tragedyi, osnutych na tle tych wypadków, wydaje mi się niebardzo prawdopodobnem *wobec zgodności* dramatu Słowackiego z opowiadaniem Plutarcha.

Życiorys Agisa, do dziś dnia jedyne źródło tego tragicznego wypadku, z ciepłem napisany i starannie wykończony, zapłodnił wrażliwą fantazyą poety temłatwiej, że łączyły go z bohaterem dwa wspólne pierwiastki, które poeta-mistyk najwyżej cenił: prostota patryarchalna i entuzyazm. Opowiadanie Plutarcha o Agisie, w całości przejęte do dramatu, różni się tylko w kilku drobnych szczegółach. I tak zastępuje czasem u Słowackiego Archidamia, babka Agisa, miejsce Agezystraty Plutarcha, jedynie ze względów artystycznych: na ciemną bowiem i głuchą staruszkę skoncentrował poeta całe światło sceniczne. W celu wywołania tego dramatycznego effektu trzeba było koniecznie usunąć Agezystratę na drugi plan. Z tychsamych względów uległ także pewnej zmianie charakter Leonidasa II, w ogólności słabo zarysowany w dramacie. Niektóre motywa przeniósł Słowacki na inne osoby, gdzie są stosowniejsze. Agiatis, żona Agisa, wygląda z dziećmi na rękach piękniej, niż Chelonida Plutarcha z dziećmi. Drobny ten rys charakteryzuje tamtę jako matkę; ta jest wyższą, idealniejszą, potrzebuje więcej wznioślejszych motywów; motyw wieszania w worku, przeniesiony z Kleomenesa na Agisa. Smutną rolę Amfaresa u Plutarcha gra w dramacie Słowackiego Arcezylaus, ale jest to tylko zmiana nazwiska.

Kilka motywów zaczerpnął Słowacki z biografii Kleomenesa. Ztąd dowiedział się o Agiatis z dzieciątkiem, o Kratezyklei, żonie Leonidasa, i o Sferusie Stoiku, który zaszczepił reformatorskie idee w Agisa i jego następcę Kleomenesa. Wspomina tu także Plutarch o świątyni strachu, którego nie uważa za złego demona, i o zazdrości Arata, chciwego sławy i krzywo patrzącego na powszechnie uwielbianego Agisa. Niektóre motywa pogłębił poeta, np. zdradę Amfaresa, a względnie Arcezylausa. Kradzież kobierca i złotej czary jest tylko pobudką do podłego czynu, tłómaczącego się zawistną i samolubną naturą Arcezylausa. O opuszczeniach i dodatkach w celach kompozycyi i techniki dramatu powiem tylko ogólnie, że są one nieznaczne i rzadko przeciwne duchowi historycznemu. Gorsze od modernizowania Starożytności („Guwernery“, „Pani Agisowa“, „Kościół“ i t. p.), są takie anachronizmy, jak początek pieśni chóralnej, gdzie w ręku niewolnic „burczą wrzeciona, jak w *Dawnej Polsce*“—albo podobne wyrażenie o Agisie, któremu „Bóg daje *ton słowiański*“. Najwięcej obcych pierwiastków dorzuca doktryna spirytystyczna, nakładająca zupełnie odmienne barwy na czasy i osoby dramatu. O takich przekręceniach słów greckich, jak „Kolkoidos“, zamiast „Chalkioikos“, nie warto mówić wobec głębokiego odczucia i zrozumienia ducha Starożytności, odtwarzanego nieraz pomistrzowsku przez poetę kilku tylko śmiałemi rysami.

Nie oceniając tutaj estetycznej wartości tragedyi, odnosimy ją do ostatniej epoki dramatycznej twórczości Słowackiego i kładziemy tuż po *Księdzu Marku* i *S. Sr. Salomei*. Pod względem kompozycyi i techniki dramatycznej pozostawia i *Król Agis* wiele do życzenia. Jakaś dziwna ociężałość opanowała twórczą fantazyą autora *Ojca zadżumionych*, jak widać z samej formy autografu. Naturalizm, posunięty czasem aż do trywialności, zbyt silne nakładanie barw, a przytem częsta mglistość i rozwlekłość: oto wady wykonania. Ze względu na charakterystykę nie może najlepiej odmalowany charakter bohatera i jego babki. Pod względem etycznym jest najpiękniejszą Chelonida, idealna postać świata klassycznego. Agis—to szlachetny entuzyasta „przesadzony z Likurgowego wieku“, poświęcający się „apostoł miłości“. Archidamia to głucha i ślepa staruszka, ale pełna ognia i zapału, objawiająca swą miłość macierzyńską nienawiścią do nieprzyjaciół wnuka. Otwarta, bezwzględna ale poważna „matka Sparty“, jak orzeł ponura i „nadczłowiecza potęgą ducha“. Najenergiczniejsza ze wszystkich osób dramatu jest, razem z królem Agisem, reprezentantką doktryny autora. Najwierniej oddany charakter Agezylausa. U Słowackiego, jak u Plutarcha, jest to chytry samolub, chciwy władzy i pieniędzy. Tylko jego mowa jest już w dramacie karykaturą, zresztą wcale udatną. Wogóle żywioł humorystyczny przebija się dość wybitnie w całym utworze, nie brak nawet gry wyrazów, zaraz w pierwszej scenie.

Swoje społeczne stanowisko zaakcentował autor w starciu się zwyrodniałej arystokracyi z ciemnym motłochem, nie odstępując w tem od rzeczywistego stanu. Subjektywne uczucia i reflexye złożył w chórze występującym zazwyczaj przy końcu sceny i aktu. Chór Słowackiego nie gra czynnej roli, jak u Eschylosa, chociaż wyprzedza czasem akcyą, a nawet przepowiada przyszłość; natomiast wygłasza poglądy albo współczucia autora i jest bezstronnym sędzią osób i wypadków, stawiając widza na pewnej wysokości, zkąd ogarnią całą akcyą. Czasem wynurza tu Słowacki swoje myśli i uczucia, niezastosowane wcale do akcyi. Forma chóru, zazwyczaj trójdzielna, jest utworzona na wzór starożytnej strofy, antystrofy i epody.

Na tem kończymy nasze pobieżne uwagi. Starałem się w nich wyszukać właściwe stanowisko, z którego należy czytać ten nieznany utwór Słowackiego. Resztę uzupełni sobie czytelnik, jeżeli się podda wrażeniom sztuki samej. Poniżej podaję text, starając się zadość uczynić wymogom krytyki. Poprawiałem tylko tam pisownię, gdzie jest niejednostajną. Jeżeli naprzykład stoi po autografie „Agesilausz“, Agezilausz“ i „Agezylausz“, w takim razie ujednostajniam ostatnią pisownię „Agezylausz“. Interpunkcyi autora nie można było zachować, chociaż jest bardzo charakterystyczną, z powodu ciągłych domyślników.... których używa autor zupełnie niewłaściwie, rozrywając nieraz należące do siebie wyrazy. U dołu podaję przekreślone przez autora wersye. Niektóre z nich zawierają nowe, nieużyte w dramacie motywa i rzucają światło na intencyą autora, na genezę jego twórczości. Niezbędne uzupełnienia biorę w klamrowy nawias.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego

(Dalszy ciąg).

Kosztownie umeblowane pokoje nie miały tej nieznośnej fiziognomii hotelowej, jaką nadaje wytworność bez smaku. Misia, artystka, wszystko tu umiała dobrać harmonijnie i zestawić tak, aby stworzyć obrazek nie bez pewnej oryginalności, a bez pretensyi do niej.

Starała się o to, ażeby i w salonie i w przytykających pokojach sprzęt był wedle umyślnie sporządzonych rysunków wykonany, z tym warunkiem, ażeby ich nie powtarzano. Żadna z ozdób w salonie nie była też repetycyą jakiegoś czegoś oklepanego, choćby pięknego. Główny salon, w stylu XVI wieku cały, miał wiele powagi i prostoty. Inne pokoje, z rozmaitych epok, równie starannie były przyozdobione. Żaden z obrazów wiszących na ścianach nie nudził widokami Szwajcaryi i Tyrolu; żadna zła kopia sławnego oryginału nie zalegała próżnego miejsca. Nie było przesytu i przeładowania fraszkami, a te, którym uczyniono honor wybrania ich dla reprezentowania smaku epoki, wistocie ją reprezentowały.

Z takiem staraniem, ale skromnie i nie krzycząco, umeblowane mieszkanie dawało odrazu poznać w kobietach, co je zajmowały, — osoby wykształcone i myślące.

Dla pospolitych gości mniej tu było do zabawienia oczów, dla artystów i znawców—mnóztwo rzeczy obudzających idee, zatrzymujących wzrok.

Misia starała się przytem, ażeby najrozmaitszemu smakowi ludzi przyjmowanych zadość uczynić. Dla muzykalnych był fortepian doskonały, dla grających w bilard salka osobna, mnóztwo dzieł illustrowanych o sztuce do oglądania i przerzucania, całe teki fotografii z Włoch, Egiptu, a nawet z Indyi i Japonii.

Nie wolno było palić w salonie, bo p. Zawierska i Pruszczyc znajdowali, że go to czyniło podobnym do kurdygardy; ale nałogowi palacze, mieli „fumoir“ do którego ich kamerdyner zapraszał.

Mnóztwo naśliczniejszych kwiatów, odnawianych często, nadawało pokojom fiziognomią młodą i wesołą. Nie było i to obojętnem dla wielu, że stół pani Zawierskiej mógł najwykwintniejszego zaspokoić smakosza. Niestety! Starzejąc się potrosze, p. Zawierska stała się sama nadto może czułą na uroki kuchni, którą się nie zajmowała wprawdzie, ale chciała ją mieć doskonałą.

Z tego wszystkiego łatwo już sobie wyobrazić, jak przy wielkim takcie w postępowaniu, salon pani Zawierskiej musiał się stać popularnym, i jak chętnie ludzie do niego płynęli.

Życie byłoby ze wszech miar rozkosznem, gdyby go nie zatruwała troska o przyszły los córki.

Matka liczyła, nietylko lata, miesiące, tygodnie, ale dni, które upływały dla Misi... wśród tego szczęścia, ale bez poręki na jutro.

Wieczorem dnia tego towarzystwo nie zebrało się zbyt licznie. Kilka starszych pań, jedna panna, która w sekrecie (le secret du polichinelle) oddawała się literaturze, i dużo mężczyzn się znalazło, ale na salony obszerne, wszystkiego tego było mało.

Lurski, który wysoko cenił kuchnią i kucharza Zawierskiej, jej wina—i wszystko co tu podawano, nie chybił dnia tego. Przy świetle większem wydawał się trochę śmiesznie w toalecie wieczornej, ze swą sino-czerwoną, jakby nabrzękłą, twarzą, z otyłością—i ruchami, które chciały być wdzięcznemi. Za tę powierzchowność płacił wytworną, doskonałą francuzczyzną i dowcipem; ale u pani Zawierskiej musiał złośliwości swej uzdę nakładać, bo tu—nie dopuszczano obmowy i szkalowania bliźniego.

On i Salwator (niecierpiący się jak rywale)—obaj tego wieczoru nie chybili. Paczuski, zaproszony na obiad, namówił Józia, aby się stawił wieczorem.

Tło obrazu stanowili różni artyści i dyletanci, a dokuką tego wieczora, którą znosić musiała biedna panna Michalina, był Kamerherr, znany ze swego kultu sztuki, poświęcający się malarstwu i szukający z tego chluby.

Kamerherr, najnudniejszy z ludzi, najzarozumialszy z expertów (miał się za jednego z nich) wiedział, że panna rysowała, malowała i kupowała obrazy: miał więc sobie za obowiązek bawić ją opowiadaniem o Rafaelach, które poznawał we Włoszech po albergach i nabywał — o swej przenikliwości, a nadewszystko o sobie i dziełach własnych.

Malował—niestety!!—Mały, łysy, niezgrabny, gadatliwy był plagą dla tych, do których przystawał—ale grzeczność go znosić kazała.

W przekonaniu własnem miał się za jednę z tych powag w rzeczach sztuki, której Lübke i Cavalcaselle radzić się byli powinni.

Panna Michalina z anielską go cierpliwością słuchała, co mu pochlebiało; ale ze wzroku jej i minki, można było posądzać, że myślała o czem innem. Kamerherr tymczasem od niepomiernego paplania usta aż miał czasem pianą okryte, jak rumak po szybkim biegu.

Postać to zresztą epizodyczna, którą pominąć możemy.

Trochę późno zjawił się także pan Sylwan Horpiński. Zdaleka go dostrzegła panna Michalina, a że matka była zajęta świeżo przybyłemi starszemi paniami, manewrowała więc tak zręcznie, iż mogła go przywitać. Pociągnął za nią Kamerherr, i również raczył Sylwanowi skinąć głową, gdyż znał go, i czasem Horpiński bywał mu do expektoracyi potrzebnym. Lubił sztukę—a kto sztukę kochał, ten musiał paść ofiarą Kamerherra, który był jej uznanym, urzędowym kapłanem.

Zdaleka przywitawszy pannę Michalinę, niechcąc jej być natrętnym, Horpiński zniknął zaraz w grupie mężczyzn.

Widać było, że go wszyscy znali i witali bez

wyjątku grzecznie, uprzejmie, chętnie. Wistocie, Sylwan, (o czem wiedział świat cały), nigdy od nikogo nic nie potrzebował—nie był zawadą, nie stawał się natrętnym, w wielu razach posługiwał chętnie: w tej więc mozaice różnobarwnej, z której się składa towarzystwo, był szkiełkiem użytecznem i pożądanem.

Zkolei wszyscy do niego wyciągnęli ręce, napraszali się nieco z przywitaniem, ująwszy dłoń, długo nią potrząsali serdecznie, uśmiechali mu się. Był gościem miłym.

Ale—jak wczoraj w cukierni, tak dzisiaj w salonie, p. Sylwan wszedł zamyślony, chłodny jakiś, grzeczny — i, jakby zamknięty. Poufałości nie okazał nikomu, uprzejmość — wszystkim jednakową.

Strój był trochę zangielska, nieuderzający niczem, oprócz bardzo wykwintnego kroju. Żadna z tych błyszczących ozdób, któremi się młodzież lubi popisywać, nie dawała się widzieć na nim. Nawet łańcuszek zegarka zastępowała wstążka czarna.

Zdala, z jednej strony, mierzyła go oczyma ciekawemi panna Michalina, z drugiej Emil Paczuski, któremu o to szło, aby zaspokoił pannę Zawierską i okazał się lepiej poinformowanym nad wszystkich.

Zaledwie wszedłszy, p. Sylwan znalazł chętnych do rozmowy z sobą. On też jej nie unikał, zawiązywał z łatwością, prowadził zręcznie, badał umiejętnie; lecz po godzinie ożywionych rozpraw prawie zawsze ci, co z nim przyjemnie ją spędzili—po uczynionym obrachunku znajdowali, że więcej mu dali, niż wzięli od niego.

Emil Paczuski, który znał zdaleka p. Horpińskiego, po pewnym rozmyśle postanowił, zamiast szukać dla siebie reporterów—sam się starać zbliżyć do zagadki—i badać ją.

Dosyć zręcznie przerznąwszy się przez dzielące go od p. Sylwana szeregi, Emil przysunął się do rozmawiającego ze znanym artystą—pozdrowił go naprzód i, otrzymawszy wzajem powitanie zręczne, zatrzymał się przy nim. Miał zamiar wmieszać się do rozmowy i—na resztę wieczora przywiązać do Horpińskiego umiejętnem manewrowaniem.

Strategiczne te plany powiodły się zrazu. Emil znalazł rozmowę nastrojoną tak, że łatwo mu było wziąć w niej udział; odezwał się parę razy szczęśliwie i począł przysłuchiwać się.

Artysta mówił, naturalnie, o tem, co go najbliżej obchodziło: o sztuce i udziale, jaki ona miała w żywocie miasta naszego — o sprzedanych i zamówionych obrazach, o słynniejszych mistrzach pędzla i ołówka.

P. Sylwan słuchał z uwagą, odzywał się ze znajomością rzeczy, lecz ani na chwilę się nie rozgrzał—i trudno było domyśleć się, jak dalece go obchodziło to, o czem mówili.

Szczęściem dla Emila, odciągnięto malarza, i on sam pozostał z tym, którego pragnął wziąć na spytki. Natychmiast wcisnął pytanie jakieś dwuznaczne, mogące być wstępem do dłuższej rozmowy, i miał tę przyjemność, iż Horpiński chętnie ją zawiązał.

Emil słuchał z natężoną uwagą... Uderzyło go jedno: Sylwan mówił z wielką łatwością i płynnością, lecz oczy jego w czasie rozmowy biegały po salonie, po twarzach—i zajmowały się tymczasem czem innem. Nie będąc istotnie roztargnionym, wydawał się nim; to, co mówił zresztą, było pospolitą *eau bénite* i nie dawało poznać człowieka.

Emil zrozumiał, zbliżając się do niego, że zajrzeć do wnętrza,—mogło być bardzo trudno. Był to człowiek szczelnie zamknięty, a Paczuskiemu brakło klucza, któryby ten amerykański zamek mógł otworzyć.

Co najmniej potrzeba było długo popracować nad zbadaniem mechanizmu, nim się pokusić mógł o dostanie się do wnętrza.

Kilka pytań rzuconych przez Emila, mających na celu odkrycie prowincyi, z której pochodził Horpiński — nie doprowadziło do niczego. W odpowiedziach Sylwan wymijał się bardzo zręcznie i niedając poznać, że chce czynić z czegoś tajemnicę—usuwał wszystko, coby na trop jej naprowadzać mogło.

Widząc, że twierdzę tę według wszelkich sztuki prawideł oblegać będzie potrzeba, Paczuski w końcu zrezygnował się na to, aby serdecznie się przywiązać naprzód do p. Sylwana, narzucić mu się za przyjaciela—i w ten sposób, choć powoli, dojść do celu. Czynił to—dla panny Michaliny, ale przez próżność tylko, aby okazać się zręczniejszym od innych... przebieglejszym...

— Bądź-co-bądź! nie ujdzie mi! — mówił w duchu. Spenetruję go!...

Wśród dosyć ożywionej już gawędki, nagle sama panna Michalina znalazła się tuż blizko—i pozdrowiła Horpińskiego.

Emil usunął się natychmiast, znalazłszy doskonały pretext do tego w zbliżającym się Józiu, który powolnemi kroki zmierzał ku tej grupie.

Ze zwykłą swą swobodą i uprzejmością, uśmiechem powitawszy Horpińskiego, p. Michalina zagadnęła:

— Cóż pan porabiasz!... przez parę tygodni nie widzieliśmy pana?...

— Nadzwyczaj trudna dla próżniaka odpowiedź—odezwał się z uśmiechem Sylwan.—Wstyd mi się przyznać, ale ja nic nie robię...

— Gdyby to było prawdą, bardzoby mi pana żal było—podchwyciła panna—Czyż podobna jest nic nie robić!... nie mieć jakiegoś celu w życiu! Gdyby go brakło, należałoby go stworzyć sztucznie.

Spojrzała na niego: stał zimny i zamyślony.

— Możem się źle wyraził—rzekł po chwili.—Prowadzę rodzaj życia, któreby kontemplacyjnem nazwać można. Patrzę—słucham... Niech mi pani wierzy, że to bawi i uczy.

Misia poruszyła ramionami.

— I nie masz pan ochoty wmieszać się do... aktorów, chcesz pozostać widzem? na zawsze! To być nie może.

Sylwan zawahał się z odpowiedzią.

— Dotąd nie miałem wistocie najmniejszej chętki do czynu—rzekł napół żartobliwie... Zleniwiałem, i—z tem mi dobrze...

— Lecz pozwoli pani, abym coś na uniewinnienie się, choć w części—dodał. — Ja otwarcie i jawnie jestem próżniakiem, a mnóztwo ludzi, napozór niezmiernie zajętych, mniej może wistocie robi odemnie.

Misia rozśmiała się.

— To może być—rzekła—ale grzech cudzy nie zmniejsza winy własnej.

Spojrzała na Horpińskiego, który stał grzecznie, chłodno uśmiechnięty...

— A!—dorzuciła pośpiesznie—ja pewnie jaknajmniej mam prawa prześladować kogoś za—próżniactwo,—bo cóż ja robię!?

— Pani, zdaje mi się—odparł Sylwan,—jesteś niezmiernie zajęta. Kochasz sztukę i sama jesteś artystką. Wszakżeż to jedno starczy na zapełnienie życia! I literatura nie jest jej obojętną.

— Tak, ale to są wszystko tylko diletanctwa, zabawki, a nie zajęcia—odparła p. Michalina, oczy spuszczając — a nie ma rzeczy śmieszniejszej nad takie miłośnictwo, gdy ono chce rościć sobie prawo do kunstmistrzowstwa... Kocham sztukę, to prawda—dodała żywo,—ale mi przynajmniej nikt zarzucić nie może, abym z tego szukała chluby... kryję się z tem, jak mogę.

Mowiąc to, zarumieniła się mocno, a Sylwanowi zdało się zapewne, że ją mógł niezręcznem słowem obrazić, i żywo dorzucił:

— Miałaż-byś mi pani wziąć za złe, że wspomniałem o sztuce?...

— Bynajmniej — rzekła, odzyskując wesołość i uśmiech, Michalina—wolałabym jednak, abyśmy mówili o czem innem, nie o mnie.

Podniosła oczy ku Hopińskiemu.

— Nie wyjeżdżałeś pan nigdzie?—spytała trochę bezmyślnie.

— Niechętnie opuszczam zawsze Warszawę—rzekł Sylwan — bo przyrastam łatwo do miejsca, no, i nic mnie nigdzie nie pociąga.

Misia byłaby go chętnie zapytała: czy nie miał rodziny, ale nie śmiała, obawiając się obudzić w nim jakieś nieprzyjemne może wspomnienia.

— Co do mnie—odezwała się, opuszczam chętnie miasto w czasie lata — na wsi jest tak zielono, kwiecisto, pięknie — z natury wieje przypomnienie jakichś szczęśliwszych wieków.

Horpiński się skrzywił.

— Natura jest prześliczna — rzekł—nie ma wątpliwości, ale co się tycze tych szczęśliwszych wieków sielankowych, zrodzonych w wyobraźni poetów, przyznaję się pani, że od czasu, gdyśmy zpomocą badań archeologicznych sięgnęli głębiej w dzieje prastare ludzkości, coraz mocniej się przekonywam, iż one były mrzonką i cywilizacya, na którą narzekają ludzie, ulepszyła, uszlachetniła człowieka, a nie zepsuła go pewnie.

— Nie chcę się o to sprzeczać—odparła Michalina—pozwolisz mi pan tylko co do cywilizacyi uczynić to zastrzeżenie, że i ona może wyrosnąć nad miarę, zwichnąć się i zamiast uszczęśliwienia ludzkości, zawichrzyć nią i stać się dla niej zgubną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HENRYK MARTIN.

W ostatnich dniach ubiegłego roku Francya straciła jednego z najszlachetniejszych swoich synów; d. 14 Grudnia umarł w Paryżu człowiek zacny i pisarz zasłużony: Henryk Martin, historyk. Patryota gorący, republikanin szczery, należał on tak przez wiek, jak ducha, do tej plejady pisarzy francuzkich, którzy w przeddzień Rewolucyi Lipcowej, występowali jako przedstawiciele nowych idei w polityce i filozofii, nowych form w sztuce. Urodzony 1810 r. w St. Quentin, gdzie ojciec jego był urzędnikiem sądowym, w 1829 r. już znajduje się w Paryżu, gdzie, studyując prawo w Sorbonie, łączy się węzłem przyjaźni ze szlachetną falangą młodych poetów i pisarzy, których duchem przeniknięty, chwyta też za pióro i w tymsamym roku, gdy Wiktor Hugo, burząc zasieki starego klassycyzmu, przedstawia na scenie Teatru Francuzkiego dramat swój: „Hernani“, on drukuje niemniej romantyczną powieść: „Wilcza wieża“, której przecież brakowało tej potężnej siły talentu, przez jaką Hugo zdobył sobie palmę zwycięztwa nad przeciwnikami, i Martin, napisawszy jeszcze kilka powieści, którym nie udało się wybić ponad mierność, zwrócił się do pracy w kierunku innym: oddał się pisarstwu historycznemu. W roku 1836 ukazała się: „Historya Francyi“, która miała być niemal jedynem jego dziełem — niemal wyłączną pracą całego jego życia. Rozszerzana i przerabiana w miarę, jak postęp nauk historycznych i coraz nowe źródła, nowe odkrycia na tem polu, poddawały nowy dla pióra jego materyał, rosła ona i uzupełniała się z laty, aby trzykrotnie ukazać się czytelnikom w zmienionej coraz postaci. Druga edycya, niemal w siedmnaście lat po pierwszej, bo wydana w 1856 r., owoc nowych studyów, szczególniej co do dwóch pierwszych tomów, poświęconych historyi Galii, i epoce Merogowingów, była już o kilka tomów powiększoną; trzecia zaś, ukazująca się w cztery lata później, t. j. 1860 r., stała się ogromnem, dwudziestotomowem dziełem, przez które też imię jego przejdzie do potomności, i które jest podstawą jego zasługi, jako pisarza i obywatela, bo słusznie w prassie francuzkiej zastosowano do niego, przy wspomnieniu pośmiertnem, te słowa Pascala: „On s'attendait de voir un auteur, et on trouve un homme“. Człowiek to: jego uczucia, jego gorący patryotyzm, więcej niż talent pisarza podnoszą dzieło Henryka Martin do rzędu pierwszorzędnych prac historycznych, bo dlatego jego „Historya Francyi“ posiada tę skończoność i sumienność bezstronną, to równe zawsze panowanie nad przedmiotem i zdolność rozumnego odczucia rozmaitych charakterów, że najwyższe serca jego uczucie—miłość francuzkiej ojczyzny, podnosiła go tutaj nad ducha stronnictwa i nie kazała nic umiłować szczególniej. Republikanin z zasady, z przekonania i ze wszystkich czynów życia, nie

wpadł jednak w błąd Micheleta, który wszędzie i zawsze widzi przedewszystkiem lud i staje się jego szermierzem i wedle jego interessów historyczne wyroki swoje feruje. Martin wpatrzony przedewszystkiem i niezmiennie w oblicze Francyi samej, w jej interes, w jej wielkość, w rozwijanie się jej potęgi, ogarnia wzrokiem wiernego badacza naród cały i przez to poglądy jego szersze są, wspanialsze i nawet przed sądem czystej nauki, muszą mieć wyższość nad tamtemi, jakkolwiek Michelet jest pisarzem potężniejszego natchnienia i siły twórczej, która pozwala mu odbudowywać intuicyjnie całe wieki i pokolenia, w mrok przeszłości zapadłe.

Ten stan duszy człowieka odbija się na historyku przymiotem jednym jeszcze: Martin uczy czytelnika kochać Francyą. Jest on pisarzem krytycznym, bo inaczej byłby historykiem bez żadnej wartości, ale krytyka jego nie zacina się namiętnie, i nie ma tego wykrzywionego wzroku, który widzi tylko złą stronę rzeczy: ją rozciąga, jej dysekcyą się bawi, nie mając spojrzeń dla drugiej: lepszej, jaśniejszej. Francya ma w dziejach swoich ciężkie chwile upadku ducha, obniżenia się idei narodowej; i Martin, przedstawiając te epoki w świetle prawdziwem, jako pisarz sumienny, jako pisarz niefałszujący historyi, umie jednak być wtedy tak poważnie smutnym, jak syn wobec win rodzicielskich, i ten szczegół charakterystyczny, podniesionym też został przy świeżej jego mogile przez Józefa Reinach w pięknem wyrażeniu: „Ten syn pobożny, nie dopuścił się nigdy występku Chama—nie obnażył nigdy z urągowiskiem łona ojczyzny“.

Stała się też rzecz ciekawa dla badacza uczuć i charakterów ludzkich. Francya posiadała współcześnie z Henrykiem Martin historyków wyższego geniuszu; że przy tem byli to ludzie manifestujący namiętnie przekonania stronnictwa swego, mieli i pod tym względem przewagę rozgłosu: mieli i wielbicieli gorących, jak naprzykład wspomniany już Michelet, a przecież to, co się zowie *popularnością, to jest miłością narodową, narodowem uznaniem zasługi obywatelskiej*, nie dostało się w takiej mierze żadnemu, jak to posiadł Martin. Gdy przyszła chwila klęski i nieszczęścia Francyi, on, pracownik cichy, nie mieszający się nigdy w żywy ruch polityczny, i poczynając od form stylowych prawdziwy akademik, prawdziwy szperacz uczony, stał się naraz potrzebnym ludziom w sposób szczególny. Musiał być merem jednego z okręgów Paryża, został naraz wybrany na deputowanego przez swój rodzinny departament Aisne i któryś okrąg paryzki, został senatorem; lecz nie dość i na tem. Dostawano się do głębi jego cichej pracowni, aby go czynić prezydentem wszystkich lig i stowarzyszeń: pedagogicznych, gimnastycznych, strzeleckich, literackich, jakie tylko zawiązały się w kraju od chwili nieszczęśliwej wojny, nieszczęśliwych strat Francyi. Jego nazwisko było, jakgdyby napis na sztandarze, że tu chodzi o sprawę narodową, że tu żyje myśl patryotyczna, żarzy się iskra miłości Francyi, i cytowany wyżej pisarz: Józef Reinach, tłómaczy zagadkę, że to przedewszystkiem miłosne, synowskie stanowisko jego, jako historyka, tak go kazało ukochać narodowi francuzkiemu i pisze: „Wtedy, gdy Francya została poniżoną, on, który poświęcił temu całe życie pracy, aby posąg jej widniał górnie, postawiony na najwyższym piedestale, on stawał się teraz dla nas wszystkich, jakgdyby obietnicą, że Francya odzyska wkrótce dawne stanowisko swoje wśród świata, i że nigdy nie przestanie być godną czci, miłości i poświęcenia synów swoich“.

Za wielką jego zasługę historyczno-obywatelską dobrzy Francuzi uważają mu też to dzisiaj, że gdy Rewolucya z dziewięćdziesiątego drugiego roku rozdzieliła, jakgdyby przepaścią nieprzebytą Francyą dawną od Francyi nowej,—on pierwszy, choć republikanin gorący, zwrócił wzrok w dal przeszłości i zbudował jakgdyby most, aby ci, którym podnoszono przed oczy tylko ideę republikańską, mogli przejść, i odnaleźć ideę ojczyzny: uczuć się we wspólności, w łączności świętej z Joanną d'Arc, z Bayardem, Henrykiem IV, Tureniuszem. „To też będzie niezapomnianym nigdy tytułem jego wobec przyszłości, wtedy nawet, gdy w kolei czasu książka, którą napisał, zastąpiona zostanie przez inną“ — pisze Reinach ze słusznością najwyższą, bo aby naród jakiś żył i rozwijał się, nie dość mu jest posiadać tylko cele socyalne — trzeba mu mieć ideał narodowy, wokoło którego-by się skupił, od którego brałby hasła swoje i wskazania dróg swoich, mających go wieść w przyszłość. Henryk Martin w tym kierunku właśnie zasłużył się Francyi i Francya też, wdzięczna mu za to, co jej dał, uczciła w nim obok historyka—męża zasługi obywatelskiej. Przy świeżym grobie jego przypominają teraz i wykazują liczbami, że w bibliotekach publicznych nie Michelet, pisarz gienialny, i razem pisarz przedewszystkiem demokratyczny, ale on, historyk narodowy, jest pisarzem umiłowanym i ma dwadzieścia razy więcej od Micheleta czytelników. Tak, Bogu dzięki, było i będzie zawsze—będzie wszędzie: pisarz stronnictwa nie starczy nigdy narodowi, chwilowy rozgłos zdaje się dawać mu górę, ale w głąb' serc, w serc miłość i w uczucie ogółu przenika tylko ten, który służy rzeczy niespożycie stałej i będącej wśród powszechności każdej życia zadatkiem i życia warunkiem—dobry oracz roli swojej, dobry siewca ziarn, z których się wyrabia zasadniczy pokarm ludów świata.

Jak uznanie, otaczające Henryka Martin'a było ogólnem i głębokiem, poświadcza fakt, przytaczany dziś przez prassę francuzką. Gdy w końcu Maja 1882 r. rozeszła się w Paryżu pogłoska, że choroba Prezydenta Rzeczypospolitej jest śmiertelną i gdy w sferach politycznych już naradzano się, kogo mu dać za następcę? Gambetta, który byłby miał większość za sobą, a który przecież widział, że wybór tak jego, jak każdego innego z możliwych kandydatów, byłby otworzył szranki dla gwałtownych i w tym czasie właśnie bardzo dla Francyi szkodliwych starć, odezwał się, że byłoby czynem patryotycznym, aby dla zapewnienia krajowi pokoju, usunęli się na bok wszyscy, zmazując się przed człowiekiem, którego nazwisko otoczone jest taką miłością i szacunkiem publicznym, że nikt nie ośmieli się wystąpić przeciw niemu. Tym człowiekiem, wobec którego nikt nie byłby się ważył postawić osoby swojej, który posiadał zaufanie wszystkich—był Henryk Martin!

Rzeczy obróciły się inaczej: Grévy nie umarł, a Martin nawet nie wiedział nigdy, że zapragnięto go tak wynieść na pierwsze dostojeństwo w kraju. Prócz tego jednak wzywano go i przedtem, i potem, na różne godności i urzędy, ale usuwał się od wszystkich, aż w końcu usunął się zupełnie, czyniąc missyą swoją to przewodniczenie moralne, które dawał mu w ręce już wręcz sam naród francuzki—jego młódź, kochająca w nim to, co w znacznej części przez niego biło jej w piersi. Miał on w ten sposób swój własny świat, przez który tworzył w myśli swojej przyszłą Francyą. Powtarza się dziś często, że młodość lekceważy przeszłość, nie szanuje starości, ale powierzchowny to jest sąd i zarzut niesłuszny, jak widzimy. Młodość, która się rwie do życia, do czynu, może, a nawet musi wedle praw przyrodzonych, odtrącać starość strupieszałą już i wsteczną, lub taką, która nigdy nie miała nic po za sobą; ale jest starość taka, jak tych rzymskich Patres patriae, którzy siedząc z berłami w ręku, na krzesłach kurulnych ukazali się hordom najeźdźców, wkraczającym na Forum Romanum; jest starość taka, jaka po zasłużonym życiu dostała się Henrykowi Martin. Ostatnie jego przemówienie publiczne było na jesiennem zebraniu gimnastyków departamentu Sekwany, którym prezydował i wobec grobu jego przypomniano sobie teraz tę mowę długą, przerwaną łzami. Widział przed sobą młódź dzielną, męzkosilną, wzruszyło mu się też serce, nieostygłe jeszcze, i mówił jej: — „Il faut avoir l'idolâtrie de la grandeur française: on ne peut jamais faire assez pour la patrie, à qui on doit tout son temps, toutes ses ambitions: son or, son sang, ces enfants, puisque la France est pour les Français la plus grande personne morale au monde, et à la force qui opprime le droit, il faut opposer la force, qui sert le droit“.

Tu gdy zaczął mówić o świętem oczekiwaniu godziny, mającej wybić kiedyś—głos mu zadrżał i przysłonił się. Zakończył też, używając sławnych słów Voltaire'a: „Ah! jeunes gens, jeunes gens, vous verrez de belles choses“...

— Et vous en ferez — dodał, a gdy mu przerwano, wołając, że i on działać będzie z nimi, potrząsnął smutnie głową i zawołał, jakgdyby rzucając hasło dla przyszłości:—Vive la France!

To był testament jego, który złożył w ręce młodzieży francuzkiej.

Pascal nie mylił się w tem, że człowiek musi znaleźć się wszędzie: w pisarzu, w mówcy, w stanowisku, obranem przez uczonego. Jaką była idea moralna, którą Martin, jako historyk, szczepił Francyi przez powoływanie się na rodzimego jej ducha — na ducha starych Gallów, pokazuje cytata z greckiego dziejopisarza, Strabona, którą przytoczył w jednej z historycznych konferencyi swoich. Strabon, zwiedzając część Gallii, która dziś zowie się Owernią, zaszedł wśród lesistej, dąbrowami zarosłej okolicy do wioski, gdzie spoczywając u ogniska jednej z chat gościnnych, usłyszał naraz w pobliżu szczęk broni i dźwięki pieśni bojowych.—Czy towojna wam grozi?—zapytał gospodarzy—Czy wy wyprawiacie się w świat za zdobyczą?—dodał, gdy na pierwsze pytanie otrzymał odpowiedź przeczącą. Ale i na to niewiasty odpowiadają mu: nie.... Nie, tylko usłyszano, że jest kędyś po za górami Owernii lud nieszczęśliwy, który się pasuje z napastnikami i Gallowie śpieszą mu na pomoc, bo uważają czyn taki za święty obowiązek braterstwa ludzkiego.

Henryk Martin szanował w ludziach i narodach to, co było cnotą jego własnej piersi, i wedle takiej-to podstawy rozrządzał szlachetnie sympatyami swemi, wiązał się ogniwem uczuć przyjaznych. Mieliśmy w nim wiernego, stałego druha i przyjaciela, należy mu się też od nas wspomnienie poczciwe.

Do piśmiennych zasług jego, do dzieł publicznego użytku, jakie zostawił po sobie zaliczyć trzeba obok wielkiej jego historyi, drugą mniejszych rozmiarów: „Histoire populaire de France“, która rozchodząc się w niezliczonej liczbie exemplarzy, znajduje się w każdej prawie czytelni ludowej. W niej-to usiłował on dodokonywać moralnej edukacyi ludu francuzkiego i przez nią to trafił do jego serca. Józef Reinach pisze, że to dziełko popularne, wyrobiło pierwsze w ludzie francuzkim cześć Dziewicy Orleańskiej „la patronne des envahis“.

Między ulotnemi pracami jego, zaznacza się poemat prozą: „Vercingetorix“, którego przekład polski, dokonany językiem pięknym przez p. Sewerynę Duchińską, drukowany był w *Bibliotece Warszawskiej*.

Pogrzeb zasłużonego człowieka odbył się kosztem narodu.

Marya Ilnicka.

RUCH MUZYCZNY.

Często bardzo mówimy, że ten lub ów artysta-wirtuoz w swoim kierunku pracy doszedł do doskonałości, że stanął u szczytu. Jak błędnem jest to orzeczenie, można wtedy dopiero się spostrzedz, gdy poznamy nową, wyższą doskonałość, przy której wszystkie inne bledną, jak gwazdy przy słońcu.

Czem jest obecne wirtuozowstwo wykonawcze, ledwo w przybliżeniu zdajemy sobie sprawę, lecz do czego dąży, czem się ma stać—jest to tajemnicą, której żadne dociekanie nie jest w możności odsłonić, aby wskazać najwyższy punkt, stały cel, do którego dążąc, nareszcie dojść można. Widziemy tylko coraz nowsze zdobycze, coraz większe doskonalenie się techniki,—potęgowanie się środków które mają służyć sztuce; ale gdzie one prowadzą i dokąd tak się rozwijać będą, gdzie jest ich kres? —tego nikt określić nie zdoła.

W ostatnich trzech dziesiątkach lat głównie prąd wirtuozowstwa się rozwijał, mnożyły się znakomitości po znakomitościach, i każdy niemal kraj może się teraz niemi poszczycić, najwięcej zaś Niemcy, które są źródłem tej kaskady wirtuozów, coraz-to więcej podziwianych. Nie dzieje

się to jednak bez szkody prawdziwej twórczej sztuki.—Czem więcej wykonawców solistów, tem mniej prawdziwie natchnionych kompozytorów. Jestto naturalnym wynikiem pracy pochłaniającej cały czas i zdolność artystów, czyniącej z nich niewolników znikomej, ułudnej sławy. Sądzę jednak, że nastąpi reakcya, i sztuka postawi swoje *veto*.

Uwagi te nasunęły się nam, gdy, słuchając gry Eugeniusza D'Alberta, chcieliśmy zdać sobie sprawę: czem się ona wyróżnia i jakie są jej zasługi. Otóż zdaje nam się, że właśnie największą jej wartością jest to, że zbliża tę chwilę upragnioną, w której nastąpi zniechęcenie do gonitwy za niedościgłą doskonałością techniki, bezsilnej wobec niedostateczności samego instrumentu. D'Albert, w potężnej swej organizacyi duchowej niezawodnie odczuwa to, gdy w nadmiarze pragnień do urzeczywistnienia, w poszukiwaniu effektów mających tłómaczyć myśli jego, niezawsze może je otrzymać zwykłemi, istniejącemi środkami, pomimo że na usługi jego są one wszystkie zebrane i spotęgowane znakomicie.

W grze jego przejawia się to niezadowolenie, to pragnienie czegoś potężniejszego, czego mu fortepian dać nie może. Siła jego fizyczna w walce z instrumentem zmusza go do okazania całej pełni brzmień, ale często też, i zawiele artysta wymaga od niego, to jest effektów orkiestralnych, mas dźwięków, które jednostajnością swego brzmienia w solowym instrumencie stają się chaotycznemi. Fortepian w swej budowie obecnej, w ostatniem, jakby się zdawało, udoskonaleniu, dla takich wirtuozów, jak D'Albert, jest już niewystarczającym; czuje się potrzebę czegoś doskonalszego, potężniejszego, wzbogaconego w charakterze i sile tonu.

To, co powiedzieliśmy, uwalnia nas od szczegółowej oceny gry. Rozumie się samo przez się, że tak znakomity wirtuoz, rozporządzający tak rozlicznemi i wszechstronnemi warunkami gry, musi zachwycić, porwać zentuzyamowanego słuchacza. W D'Albercie zdumiewa siła i wytrwałość żelaznej ręki, umiarkowanie w traktowaniu tempa, rytmika panująca z całym swym klassycznym spokojem w pięknie zarysowanych okresach muzycznych. Najbardziej nawet ukryte myśli, zawarte w pojedynczych frazach, które najczęściej giną, gdy nie są dosyć wyraźnie uwydatnionemi, z wyjątkową zdolnością artysta ten umie odszukać i zaznaczyć. Zapał, śmiałość w rzucaniu przeciw sobie kontrastów cieniowania, szlachetność i powaga, uzupełniają tę wytworną grę.

Jeśli zaś mamy wspomnieć o stronie ujemnej, wypływającej jedynie z przyrodzonego nastroju, przeważnie energicznego, to moglibyśmy tylko powiedzieć, że w muzyce romantycznej, gdy ona staje się z wdziękiem niewieścim, miękką, niespokojną lub marzącą, artysta nie jest w swoim żywiole. Wolne od nerwowości poczucie silnego ducha męzkiego, nie może nagiąć się do tych subtelnych poetycznych odcieni. Takim jest ten genialny wirtuoz.

Dochodzą nas wieści z Krakowa, że Władysław Żeleński, przy swej wytrwałej pracy w wykończaniu partytury „Walenroda", napisał w ostatnich czasach, waryacye na smyczkowe instrumenta i kilka pieśni. Obecnie widzieliśmy w księgarniach trzy dzieła jego w układzie czteroręcznym na fortepian, mianowicie: Mazura, Poloneza, i Uwerturę „Tatry".—Są to znane nam już dawniej epizody symfoniczne, które tutaj były już wykonywanemi na koncertach, we właściwej swej formie orkiestralnej.

Prócz tych, wyszły z druku trzy chóry męzkie: „Żeglarze", „Wilija" i „Chór myśliwych".—Dzieła te, świetnej treści muzycznej, mają tę zasługę, że są wzorowo pisane i brzmią na głosy bardzo pięknie; są jednak trudne, i wymagają wytrawnych sił wykonawczych.

Pierwszy raz też mieliśmy w rękach, dzieła młodego krakowianina, Jana Galle. Są to przeważnie pieśni jednogłosowe. Melodya jest w nich świeża, przystępna bez starania się o wymuszoną oryginalność, widocznie płynie prosto z duszy artysty. Harmonizacya szlachetna i staranna. Dwugłosowa „Pieśń Paziów" także bardzo ładna, w żywym, pełnym humoru toku, rozwija się jak barwny obrazek wiosenny, ujęty w zgrabną proporcyonalną całość. Szkoda tylko, że autor posiłkuje się wyłącznie textami niemieckich poetów, gdy w literaturze naszej tyle wdzięcznych poezyi oczekuje na zillustrowanie muzyczne.

Następnie zaznaczymy, że wyszły z druku, u Kistner'a w Lipsku, „Trzy pieśni polskie" dwugłosowe Zygmunta Noskowskiego, opracowane na znanych tematach ludowych. Śpiew powtarza się kilkakrotnie bez zmiany, lecz harmonizacya, w ciągłej modulacyi, nadaje coraz-to nowy wdzięk powracającemu śpiewowi. Nie potrzebujemy mówić, że opracowanie jest godnem autora tylu cennych dzieł.

Wśród młodej generacyi naszych kompozytorów odznacza się swemi pracami Ignacy Paderewski, jako prawdziwie utalentowany artysta. Dzieła jego fortepianowe, jako to: Waryacye, Suita, Pieśni Majowe, tak formą jako też świeżością pomysłów, i umiejętnem ich przeprowadzeniem zasługują na szczególną uwagę.

P. Kazimierz Henisz obdarza nas ulotniejszej treści kompozycyami. Nakładem Bösendorfera w Wiedniu wyszły już Mazurki, Nokturn, Moment musicale, Pastorale, Valse d'Album, i dwie sztuki skrzypcowe: Romans i Melancholia.— Z tych szczególniej, „Moment musicale" zaleca się wdziękiem i oryginalnością.

Podobno ukażą się wkrótce pieśni Piotra Maszyńskiego „Powrót wygnańca" i „Piosnka Wschodnia", obie bardzo udatne i charakterystyczne. Pan Maszyński celuje jednak przeważnie w muzyce chóralnej i kwartetowej wokalnej. Na koncertach Towarzystwa Muzycznego często bywają dzieła jego wykonywane i zjednywają sobie zasłużony oklask.

Szkoda wielka, że ruch wydawniczy u nas jest tak ospałym, gdyż wskutek tego wiele prawdziwie pięknych dzieł naszych kompozytorów kryje się do tej pory w tekach autorskich, zamiast, coby powinny dać świadectwo przed ogółem o chwalebnej pracy naszych młodych artystów.

Juliusz Stattler.

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

VI. **Musset i Sand** *(d. c.)*.

Musset doczekał czterdziestego siódmego roku życia... Po powrocie z Włoch, wydał *Lorenzaccio*, *le Chandelier les Caprices de Marianne*. Pomijamy szczegółowy rozbiór znanych tych utworów, widać wszakże z męzkich tych kreacyi, jak dalece Musset dojrzał jako poeta. Teraz nie chodzi mu już o to, ażeby odmalować niepowstrzymane pędy młodości, albo dziką igraszkę namiętności ze wszystkiemi następstwami: kłamstwa, gwałtu i oszukaństwa; teraz zostaje jaknajdłużej przy niewinnem a głębokiem uczuciu, przy miłości czystej, jedynie tylko przez złamanie się z porządkiem towarzyskim zbrodniczej, oraz przy bohaterskiej przyjaźni. I kobiecy typ staje się teraz u Musseta czystym. Zpoczątku kobieta jego była albo Ewą albo Dalillą, teraz zaczął je idealizować. Pani Pierson w „Spowiedzi dziecięcia wieku" jest już tego dowodem. Tasama chęć idealizowania uderza w ślicznych jego nowellach: *Emmeline*, *Fréderic et Benerette* i *le fils du Titien*. W najpiękniejszej z tych trzech: *Emmelinie*, sławny wiersz: „Si je vous disais que je vous aime", znamionuje drugi oddzielny peryod w poetycznej karyerze Musseta. Z dramacików jego *Un caprice* słusznie zamieszczony jako epitaphium na jego grobie, jest najdoskonalszym co do treści i co do formy, a ma on także swą moralną ideę. W ostatnich tych dramatycznych utworach kreśli Musset z zamiłowaniem wierność i czystość charakteru kobiety, w której cnoty wierzy, pomimo że sam ich nie znalazł.

Panowanie L. Filipa rozbiło do reszty Musseta. Odpowiedź jego na pieśń o Renie Beckera, świadczy o lirycznej możliwości jego rozwoju przy bardziej sprzyjających politycznych warunkach. Niestety, młodość minęła, a on już nie czuł w sobie nowych środków do odrodzenia się. Przymioty jego i błędy zarówno wtrącały go w przepaść; nie miał dosyć duchowej ekonomii, ani dosyć egoizmu, ażeby lepiej myśleć o sobie.

Przegalopował życie tak nierozsądnie, że w 40 roku był 70-letnim starcem, bez zdobycia sobie doświadczenia starca. Przedwczesne znużenie fizyczne pociągnęło za sobą i duchowe. Bez wszelkiej tendencyi jako poeta, nie miał też żadnych celów jako człowiek: więc gdy zmarł w r. 1857, przeżył już swą Muzę o lat kilka.

„Sądzę—pisze p. Sand w przedmowie do „La mare au diable"—że powołanie sztuki jest powołaniem uczucia i miłości, i że w naszych czasach romans powinien zastąpić parabole i bajki czasów dziecinnych. Celem artysty powinno być, obudzenie miłości do przedmiotów, które opisuje, a ja nie uczyniłabym mu zarzutu, gdyby te przedmioty upiększył trochę. Sztuka nie jest studium danej rzeczywistości, ale poszukiwaniem idealnej prawdy".—Co u dojrzałej już wiekiem p. Sand, było kwintessencyą jej estetyki, to obrała sobie za cel w pierwszej jeszcze młodości. Powołania swego pisarskiego nie uważała nigdy inaczej, tylko jako wzniesienie się duszy ponad niedoskonałości życia społecznego, ażeby jej dać większą siłę do zwalczenia przesądów, instytucyi i brutalności serc ludzkich. Gdzieindziej mówi znów: „Odkądże-to romans ma być zmuszanym do odtwarzania tego tylko, co istnieje, to jest twardej zimnej rzeczywistości, tak, jak ją stworzyli ludzie i stosunki obecne? Wiem, że tak być może, a Balzac, twórca *Komedyi ludzkiej*, tak napisał. Ale jakkolwiek łączy mnie z nim przyjaźń, uważam jednak ludzkie przeznaczenie z całkiem innego stanowiska i przypominam sobie, żem Balzacowi raz rzekła:—„Piszesz *Komedyą ludzką*; tytuł jest skromny, mógłbyś pan równie dobrze napisać: „Dramat albo tragedya ludzkości". — Tak—odrzekł—a pani mogłabyś napisać epopeję ludzkości. — Przeciwnie, tytuł ten wydaje mi się za wzniosłym. Krótko mówiąc, pan chcesz odmalować człowieka takiego, jaki się oczom przedstawia; ja zaś czuję się powołaną do malowania takiego, jaki, mojem zdaniem, być powinien. A ponieważ nie rywalizowaliśmy ze sobą, wnet więc jedno przyznało drugiemu słuszność".

Zapewne że p. Sand była idealistką, atoli nie dlatego pisała, ażeby ludzi malować „jacy być powinni", ale jakimi-by być mogli, gdyby społeczeństwo im nie przeszkadzało i szczęścia ich nie psuło: dlatego przedstawicieli „społeczeństwa" chłostała bez litości. Chciała ona zrazu opisywać swoje doświadczenia żywcem, ale zapał kobiecy uniósł ją gdzieindziej.

Byłto czas niesłychanej płodności autorskiej. Hugo, Balzac, A. Dumas—wydawali jedno dzieło po drugiem. Sand również była produktywną, gdyż dzieła jej obejmują 110 tomów. Już jako dorosła dziewczyna, przeczytawszy po raz pierwszy Rousseau'a, stała się odrazu jego zwolenniczką. Jego kult natury, deizm, jego wiara w równość i jego opozycyjność przeciw społeczeństwu, odpowiadały zupełnie jej skłonnościom i rozbudzały tesame, drzemiące tylko w niej, uczucia. Szekspir, Byron, odosobnili ją od otoczenia, i oto pierwszy w niej zarodek tej abstrakcyjnej melancholii, sprowadzającej tęsknotę a poprzedzającej zawody. Tak rozwinięta kobieta w pożyciu z mężczyzną, choćby on był wyższy od niej charakterem, nie znajdzie nigdy zadowolenia. Miała tymczasem męża, pospolitego ziemianina, który przytem, gwałtownym będąc, nie mógł zrozumieć swej żony. Trzy tylko pierwsze lata przeszły zgodnie, lecz już w r. 1825 zaczyna

Sand szukać sympatycznych węzłów nazewnątrz, bo w domu czuje się pokrzywdzoną. Niewinne nawet te jej sympatye wziął mąż jej za złamanie obowiązków,—rozpoczęły się nieustające kłótnie, skutkiem których Sand udała się w r. 1831 do Paryża.

Proces rozwodowy i korespondencya p. Sand, zaznajomiły świat z historyą tego małżeństwa. Proces ten, w którym adwokat męża obelg krzywdzących nie szczędził, oburzył ją do żywego, a temu oburzeniu dała wyraz w „Indyanie“, „Walentynie“, „Lelii“ i „Jack'u“. Książki te dziś nie przedstawiają wiele zajęcia ze względu estetycznego, charakterystyka w tym abstrakcyjnym idealizmie jest słabą, akcya nieprawdopodobną, a dykcya przesadną i deklamacyjną. Pomimoto z tych młodzieńczych utworów bije płomień, dziś jeszcze świecący, a wówczas wywołał on uczucia i myśli, które w przyszłości bujnie miały zakwitnąć.

Indyana—to pierwszy wybuch bólu i goryczy, to młoda kobieta pełna szlachetności, mająca męża, pułkownika Delmare, niby pana Dudevant, męża p. Sand. Zapał jej zrażony, chroni się przed mężem przy... kochanku. Ale oryginalność tej powieści na tem właśnie polega, że mąż wyższy jest od kochanka, gdyż on z człowieka twardego serca staje się bez serca człowiekiem. Tu zaraz spotykamy kilka głównych, męzkich typów, które się u p. Sand powtarzają, zwłaszcza: jeden grubszej natury, który przez władzy danej mu przez społeczeństwo, staje się brutalnym: i drugi, natury słabszej, który skutkiem obaw opinii publicznej staje się tchórzem i niegodnym. Autorka zaczyna od odsłonięcia egoizmu mężczyzny, potem dopiero kreśli ideał mężczyzny w „Ralfie“, który-to typ w dalszych dziełach z odmianami, nieustannie powtarzać będzie. I tak w *Lelii* staje się on Trenmorem, galernikiem, który społeczeństwo ze stoicyzmem potępia, w *Jacku* główną osobą, zabijającą się z poświęcenia dla ułatwienia miłości swej żony, w *Leone-Leoni* spokojnym Don Aleo, który również poświęca się; w *Sécretaire intime*, Niemcem Maxem, naiwnym i poetycznym zapaleńcem, w *Elle et lui*, anglikiem Palmerem, przedstawionym jako kontrast z rozpustnym Paryżaninem, w *Le dernier amour*—Sylwestrem, słabą kopią Jacka.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w końcu Grudnia 1883 r.

Sezon.—Ludzie.—Meiningerzy.— Miklosich — Luter.— Żeńska szermierka. — Wystawa w Muzeum. — Wystawa Towarzystwa dla zarobku kobiet. — Reakcya w kierunku zajęć domowych — Wykłady publiczne. — Wyprawa austryacka podbiegunowa.— Jednolitość sił natury.—Prawo do życia.

(Dokończenie)

W Wiedniu *każda* narzeczona przed ślubem—(gdy z domu, z rodziny nic nie wynosi, bo tu domu, rodziny nie ma; jest życie nazewnątrz, poza domem, dom zdany na służbę i restauratora) uczy się niby jakie dwa tygodnie gotować w jakiej wielkiej kuchni pańskiej, lub klasztornej—n. b. za drogie pieniądze. Oczywista, nic a nic się nie nauczy tego, coby jej było potrzebnem, gdyż zaledwie powierzchownie przyjrzy się przyrządzaniu w wielkich ilościach potraw wykwintnych. Należy to zreformować. W pierwszej linii powinien dom wprowadzać stopniowo dziewczynę w obowiązki pani domu; następnie zaś potrzebne są, i zostały właśnie w Wiedniu otwarte, szkoły gotowania i utrzymania domu, które mają kształcić przyszłe panie domu i matki rodziny, a zarazem przyspasabiać zdolne rządczynie, gospodynie, dla miejskich i wiejskich gospodarstw. Zawód ten, zaniedbany, jest jednym z najstosowniejszych dla samodzielnych kobiet, a wogóle wychowanie w tym kierunku, jest, conajmniej, tyle warte, ile inne zawodowe specyalne, i zapewne tylko ten kierunek może się przyczynić skutecznie do pomnożenia liczby małżeństw, do usunięcia obaw przed małżeństwem.

Targ świąteczny jest tu olbrzymi, grasuje bowiem epidemia prezentów gwiazdkowych, epidemia zwłaszcza odnośnie do dzieci. Bez żadnej miary, bez żadnego względu na przysłowie: „według stawu grobla“, bez żadnego względu na stronę rzeczy pedagogiczną, dostają dzieci podarunki zbytkowne i nieprzeliczone, rodzice i krewni rywalizują w tej mierze ze sobą, a nawet staje się już zwyczajem, że naprzód spisują swoje życzenia (Wunschzettel) i rodzicom przedstawiają!

Z nieskończonej seryi sezonowych wykładów we wszelkich stowarzyszeniach zasługuje kilka na obszerniejszą wzmiankę.

Dowódzca ostatniej austryackiej wyprawy podbiegunowej, Wohlgemuth, mówił o jej przebiegu i rezultatach: ...Jednem z największych dzieł międzynarodowych za naszych czasów jest wykonanie uchwał konferencyi petersburskiej z r. 1882: urządzenie 14 stacyi polarnych, z któremi równocześnie wszystkie obserwatorya na całej kuli ziemskiej robią badania w kierunku magnetyzmu, elektryczności, meteorologii. W Kwietniu r. przyszłego odbędzie się w Wiedniu zjazd kierowników tych stacyi, członków wypraw i wogóle badaczy, dla wspólnych narad i zatwierdzenia rezultatów badań.

Ostatnią wyprawę austryacką, której celem była wyspa Jan Mayen, wyposażył hr. Wilczek; cesarz oddał jej parowiec wojenny Pola; dano jej sześciu oficerów marynarki, a arsenał morski sporządził dla niej sześć domków stacyjnych. Dnia 2 Kwietnia r. 1882 wyruszył okręt na morze, przepłynął Gibraltar, a 30 Maja, 120 mil morskich od Jan Mayen, napotkał już stały lód. Prelegent opowiadał z zachwytem ten epizod: „Zapomina się, że się ma przed sobą wroga i niepokonaną zaporę. Przyroda rozwija czarowne bogactwo kształtów i barw w tej krainie lodów. Widzimy potężne budowy, powstałe z nawału i nacisku lodów, chaos skał, które się piętrzą w ogromne góry. Śnieg tworzy tu i owdzie łagodniejszą odmianę tonu barw, wytwarza ozdobne fantastyczne szczegóły, do czego przyczynia się i proces topnienia. Najśmielsze wiadukty, łuki, groty, nie dadzą się policzyć, a niewyczerpana fantazya przyrody nigdy się nie powtarza. Groty są ciemno-niebieskie; wielkie płyty lodowe lśnią szmaragdowo, łomy się zlewają i zaokrąglają wszelkie ostre kąty, a różnowzore sople skrzą i błyszczą;—widok cudowny. Jest to kraj wróżki Morgana, jej stolica zimowa; zamki z basztami, wieżami, ostremi łukami, kolumnadami, a są one architektoniczną ornamentacyą ozdobione, gdyż kaprys wróżki kształtuje z lodu łabędzie, wazy, stoły z kwiatami, grzyby... Ponad temi zamkami unoszą się mewy, które się gnieżdżą w jaskiniach lodowych, nurki, psy morskie, które żerują pod śniegiem. Na niebie zaś jest rozpięte lodowe światło, blask żółtawo-biały, który dla oka znawcy zwiastuje, że odtąd już aż w niezmierzone odległości niema nic, tylko pola lodowe, które światło łamią i odbijają. W jednem miejscu tylko niebo nieco zielono zabarwione; tam znajdzie okręt jeszcze wolną od lodów wodę, otwartą drogę. Nad całym lądem i wodą spoczywa majestatyczny spokój bezwzględnego milczenia, które jest czemś innem, niż brakiem szmeru, głosu. To milczenie jest potęgą, tajemnicą, której fałdy osłaniają sfery biegunowe, a która silniej duszę przejmuje, niż nawet najwspanialsza burza morska. Czasami dochodzi jakiś głos, niby cichy śpiew z niedojrzanej odległości: to lód pęka i trzeszczy, kry walą się na siebie. Powstaje ztąd ton, niby głos duchów, jedynie dla tego zaczarowanego świata właściwy“. Okręt dwa razy po kilkanaście dni przebywał wśród lodów, zbaczał na wyspę Tromsoe i znowu wracał, aż d. 13 Lipca dotarł do Jan Mayen, gdzie w dolinie Wilczka ustawiono domki stacyjne. Dnia 16 Sierpnia wybrano się z powrotem; 13 miesięcy trwała wyprawa i praca uczestników była rozdzieloną na cztery działy: astronomia i fotografia; kartografia i spektoralne badania; meteorologia i badania wód morskich; zbiory, badania przyrodnicze i higiena. Wyspa Jan Mayen ma 30 mil długości, 8 szerokości. Środek jej zajmuje Góra Niedźwiedzia, z której 9 lodników aż do morza schodzi. Południo-zachód wyspy jest wyżyną, na której znajduje się 48 kraterów, a w nich często jeszcze gra i daje się uczuć wstrząśnienie. Jądro wyspy jest z bazaltu i z pokładów lawy, z palonej gliny, popiołu i czarnego piasku. Wegetacya mizerna; fauna obfita i rozmaita. Wyprawa przywiozła 500,000 okazów prac swoich i zbiorów.

Niemniej zajmującym był wykład Dr. Mayera w towarzystwie przyrodniczem: o jednolitości sił natury. Nowsze badania wykazują jednolitość w pomyśle i w budowie całego universum. Światło przychodzi do nas z wszystkich gwiazd z taką samą szybkością, jak z ognisk na ziemi, a rezultaty analizy spektralnej stwierdzają jednolitość sił i praw. Umiejętność rozkładania światła na jego pierwotne barwy i czynniki odkryła na słońcu dotąd 25 chemicznych składników, które i na ziemi znajdujemy, a żadnej dotąd materyi, któraby nam była nieznaną. Słońce złożone jest z tejsamej materyi, co i ziemia; jest ono rodzoną matką naszego świata. Nawet najodleglejsze stałe gwiazdy mają podobny lub nawet zupełnie takisam, skład, jak słońce— oile to sprawdzić jest w naszej mocy poprzez niezmierzoną odległość. Czerwone gwiazdy są w massach swych cięższe od białych. Nowo pojawiające się gwiazdy rozwijają żarzącą atmosferę wodoru; mgławice składają się z wodoru i z węglorodu, może i z innego nieznanego nam gazu. Od gwiazd promienieje ciepło, od czerwonych najwięcej, od zielonych najmniej. Prawo ciężkości działa wszędzie jednakowo; dowodzą tego gwiazdy podwójne, które na tensam sposób wokoło siebie krążą, jak ziemia wokoło słońca. Istnienie pomniejszej gwiazdy obok Syryusza odkrytem zostało tylko przez tę okoliczność, że dostrzeżono, iż na tego olbrzyma wywiera wpływ przyciągający inne jakieś ciało. Powszechność praw natury i jednakowość materyi użytej wszędzie do budowy ciał w całem universum, musi doprowadzać wszędzie w zasadzie do tworzenia się podobnych organizacyi światowych. Pewien określony sposób i stopień takiej organicznej budowy widzimy na naszej ziemi. Nie możemy przeto wątpić, że jednaka materya, ożywiona jednaką siłą, wytworzyła na milionach miejsc w przestrzeni wszechświatów organizacye podobne do naszej ziemi—lubo istnienie ich możemy tylko filozoficznie przypuszczać a nie możemy go praktycznie stwierdzić. Siebie uważać możemy tylko jako *małą rodzinę osób* wśród ogromnej zbiorowości istot, które universum zaludniają!

Już tylko ziemskiemi stosunkami tej „*małej rodziny osób*“ zajmował się dr. Ofner w wykładzie *o prawie do życia*, w klubie naukowym. Celem istnienia i działalności państwa jest dobro ogółu, a temsamem i dobro każdego osobnika. Racyonalne prawo nie może żądać od państwa, żeby każdy miał „kurę w garnku“, lecz żąda tego, ażeby państwo usiłowało sprowadzić taki stan, w którymby każdy miał zapewniony sobie pewien stopień dobrobytu. Czy jest prawo do życia? Prawo, że nie wolno zostać życia pozbawionym — jest jedną formą tego prawa. Lecz człowiek potrzebuje środków do życia; więc drugą formą prawa do życia jest: niebyć zmuszonym do umierania z głodu. Sędziami są tutaj: zdrowy rozsądek i nauka. Pitt powiedział: „Dopóki jeden choćby Anglik posiada jednego funta, niemoże żaden Anglik głodu doznawać“. To był głos zdrowego rozsądku. Nauka ma dwa poglądy: osobnikowy i społeczny. Pierwszy uwzględnia tylko życzenia i usiłowania osobników bez oglądania się na społeczeństwo; drugi uważa społeczeństwo za niezbędne do osiągnięcia celów ludzkich i wymaga od każdego osobnika poddania się pod prawo społeczeństwa, wcielenia się w jego budowę. Osobnikowy pogląd nie prowadzi do prawa, gdyż każdy miałby tylko tyle prawa, ileby miał siły. Prawo powstaje dopiero, jeżeli chcemy żyć w pokoju z innemi: więc też zasadą prawną jest zasada społeczna. Każdy osobnik *musi* do związku społeczeństwa należeć. Wnosi on doń swoję wolę i siłę; gdyby nie było społeczeństwa, używałby ich wyłącznie i bezwzględnie dla siebie; w społeczeństwie zaś musi się troszczyć o dobro ogólne, musi się czuć

jego członkiem. To przeobrażenie ludzkiej woli, to rozpłynięcie się osobnika w powszechności, nazywa się moralnością. Każdy uzyskuje przez to dwa prawa. Społeczeństwo nie może się go wyprzeć, a zasoby oddane społeczeństwu muszą być rozdzielane. Ze społecznej zasady wynika zatem prawo do życia; rachunek zaś użyteczności opiewa: „Nędza, jest źródłem wszystkich zbrodni, wszystko, co się czyni przeciw nędzy, służy do umniejszenia zbrodni. Nędza jest powodem wszelkich rozruchów; rozruchy pochłaniają zasoby wielu dziesiątek lat, które należało rozdzielić. Nędza jest przeto najstraszniejszem marnotrawstwem“. Prawo do życia jest także protestem przeciw karze śmierci i przeciw modnemu szaleństwu i przeciw pojedynkom. Prawo do życia jest osią całego zagadnienia społecznego. Biedni żądają zaopatrzenia, jako swojego prawa, nie z łaski, nie z polityki, ale ze sprawiedliwości. Społeczeństwo nie powinno znać różnicy biednego, a bogatego; tylko: dobrego, a złego — wtedy dopiero pokój społeczny dałby się osiągnąć. Społeczeństwo polega na człowieczeństwie, a prawo do życia jest odrodzeniem się ludzkiej godności.

Taka była osnowa tego wykładu, noszącego na sobie piętno socyalizmu z *katedry*, który wyższe warstwy społeczne oswaja z tem, że albo nędza zostanie wziętą w opiekę, albo też musi zagrażać istnieniu społeczeństwa, uciekając się do anarchii i dynamitu.

SMUTKI I UŚMIECHY.

(Dokończenie)

Zastanawiając się nad małżeństwem, baronowa Orchamp zamyśla się smutnie nad dziwną łatwością, z jaką rodzice stanowią nieraz o losie córek.—Można powiedzieć, że często staramy się lepiej poznać stangreta, któremu powierzamy tylko konie nasze, niż zięcia, biorącego naszą córkę—mówi do siostrzeńca swego. — Wydaje nam się, jakoby ślub musiał z konieczności wywoływać uczucia tkliwe, a przywiązanie do męża było naturalnym wynikiem dobrego wychowania, i że dość jest zamknąć za młodą parą drzwi, aby miłość znalazła się natychmiast. Ale bożek to kapryśny, może też bardzo nie przyjść wcale, lub też przyjdzie, aby rozpalić ogień słomiany i pogrzawszy się przy nim chwilę, rozśmiać się i pójść zkąd przyszedł. Po takiej wizycie para na chwilę złączona, jeszcze bardziej obcą sobie się wyda i miesiąc miodowy, który wedle przyjętej o małżeństwie teoryi, ma być zadatkiem szczęścia na przyszłość całą, w praktyce życia, okazuje nam często, że mamy przed sobą—przepaść. Ileż to ludzi poznało właśnie w tem miesiącu miodowym, że się nigdy pokochać nie zdołają!

Nie znaczy to, aby katastrofy małżeńskie zdarzały się tak często, jak się pisze o tem w powieściach. Nie! gwałtowne rozłączenia bywają rzadkie i publiczność mieszkająca w sąsiedztwie, gdy nie słyszy tłukących się talerzy, mówi z filuternem uśmiechem:—„Poczekajcie.... Wszystko się ułoży z czasem....“ I rzeczywiście też układa się, bo większość szanuje pokupiecku ugodę zawartą. Tylko widnokrąg życia zamyka się i nic więcej! Żyje się obok siebie w najściślejszem — rozłączeniu, i szuka się wtedy uchrony dla serca w miłości dzieci, oddaje się dziełom dobroczynnym, czepia się szczęścia lub niedoli innych, a jeżeli okręt naszej duszy nie ma takich żagli, któreby uskrzydlały do podobnego biegu, życie zapełnia się drobnemi nicestwami, lub — jak się wyraził Montaigne—oszukuje się głód serca, podsycając łakomstwo umysłu. Ale trzeba też powiedzieć sobie, że związek serc i dusz nie jest bynajmniej marzeniem, ani potrzebą wszystkich: bardzo wiele ludzi pragnie tylko wspólności większych i mniejszych interessów, na podobieństwo dwóch podróżnych, którzy, mając jechać w jednę stronę, siadają do jednego powozu. Takie małżeństwo mieszka w jednym domu, jada z jednej missy, uważając to za połączenie, i życie płynie im wcale przyjemnie, przy zamianie pewnych czułości, które uważają za miłość. I nic im nie brakuje; starczą sobie wzajemnie, wzajemnie smakują w swojem towarzystwie, aż powoli jedno staje się echem drugiego i idą razem przez życie, jak para porządnych—pudli....

Ci są szczęśliwi i wyznają to głośno, ludzie też zazdroszczą im, gdy porankiem wiosennym, wziąwszy się pod ręce, idą razem na spacer z uśmiechem na ustach. Co sobie mówią, o czem rozmawiają z zajęciem takiem? O piecach.... pani jest za opałem węglowym, pan za drzewem.

I tak będzie do końca ich życia przy wspólnem obojga zadowoleniu. Jest im rzeczywiście dobrze, bo dobrali się i suknie ich zrobione są wedle miary ich figur. „Czy przecież było potrzeba, aby aż Bóg wyciągał ręke i błogosławił sakramentalnie ten mały handelek życia? pyta p. baronowa, która rozpatruje pokolei rozmaitego rodzaju stadła, wiążące się ze sobą zawsze pod płaszczykiem miłości. Są biedacy, którzy się biorą przy ołtarzu za ręce, aby wspólnie ciągnąć ciężki pług codziennej pracy, razem zgiąwszy kark pod jarzmo; są ludzie próżni, potrzebujący się wzajem dla pysznienia się jedno drugim; są zręczni przemysłowcy, rozumiejący doskonale i odrazu, w czem i jak współka ich dwóch osób wspomagać się może. Są podżyli kawalerowie, którzy zapragnęli spokojnej wygody domowego życia; przekwitające panny, które idą za mąż, aby nie siać rutki do końca żywota — i wszystko to związane ze sobą gorzej, lepiej, na los szczęścia i przypadku połączone ze sobą „aż do śmierci“, oskarża potem małżeństwo i wyrzeka na nie przed Bogiem i ludźmi, nazywając je loteryą, na której ledwo tysiączny los wygrywa. Czy przecież przystępując do ślubu tego związku, szukano rzeczywiście tego, co jest małżeństwa celem: tego, co rzeczywiste szczęście stanowi? Zapragniono potem i szczęścia przez naturalne ludzkiego serca pragnienie; tęsknota ta przecież była już spóźnioną i musiała pozostać nadaremną.

Niekiedy szczęście było blizko, tylko go posiąść nie umiano. Pani baronowa wymienia i takie pary, w których mąż i żona nie poznali się na sobie, bo nie umieli patrzeć. Byli za blizko siebie i brak tej przestrzeni, która tworzy perspektywę, stanął tu na przeszkodzie. W takich razach śmierć dopiero odsłania błąd, któremu kobiety podlegają częściej, niż mężczyzni. Niedostatecznie znają życie i ztąd nie umieją sprawiedliwie sądzić mężów. Gdy zostają same i zmierzą się z tem, co zowiemy ogólnie światem, poznają jakim był człowiek, którego miały koło siebie — nie znając jego wartości.

Bardzo też często składa się winę nieszczęśliwego związku na karb miłości. Zaślepiona, odbierała zdolność sądów i popełniono okrutną omyłkę; ale baronowa Orchamp powiada, że nie rozumie nic tego, bo jej zdaniem, nie można posądzać o to miłości, co bynajmniej sprawą jej być nie może. To tylko namiętność zaślepia: kochając prawdziwie: „de la bonne façon“ nie ulega się obłędowi. „Miłość, która nic nie myśli, nic nie czuje, która zaczyna się natychmiast od upojenia, to według mnie choroba bardzo brzydka“—powiada i dowodzi, że tak jest. „Kochać mimowoli i niewiedząc co kochamy—oddać się nie wiedząc komu i za co.... Dla Boga! toż to dzikość i barbarzyństwo!“—woła i dodaje, że nie może sobie wyobrazić, aby ktoś rozumny stał się odrazu i na oznaczony moment bezmyślnym, pozbawionym zdolności sądu. „Czy to łatwa rzecz ogłupieć tak odrazu, skoro Bóg stworzył kogoś rozumnym? Rozum jest to uparta wada, która nie chce nas odstąpić wtedy nawet, gdy bylibyśmy radzi zostawić ją na boku bo garb, to tego rodzaju, że niekiedy aż ciężkojest nosić go ze sobą, a zdjąć go nie można, tak mocno się usadowił na grzbiecie naszym. To też zdaniem mojem, te kobiety, o których się mówi, że ogłupiały z miłości, miały zawsze skłonność do zapadnięcia w tego rodzaju słabość“.

Baronowa powołuje się na długie doświadczenie życia, które jej wykazało, że prawdziwie szlachetni ludzie szlachetnie tylko mieszczą uczucia swoje, bo czują naturalnie wstręt do istot nizkich; nie stykają się też z niemi, i tylko ci, co dla przyjemnego używania wchodzą w kompromis z lichemi, podpadają takim nieszczęściom, które są karą. Mezalianse dusz nigdy się nie tworzą bez winy, bez abdykacyi, bez dobrowolnego zestąpienia z góry na poziom nizki. Baronowa, która oddziela miłość od namiętności, nie rozumie też rozkochań, podobnych do uderzenia piorunu w serce i dodaje:—„Miłość, tak, jak szczęście, nie dostaje się nigdy tym zgłodniałym, którzy chcą się w nią rzucić i zatopić odrazu“.

W awanturniczych romansach, w romansach opisujących szalone namiętności, autor zwykł kończyć rzecz swoję z chwilą ślubu, przez tę mimowolną logikę, która wykazuje, że uczucia głębokie i prawdziwe, nie będące jedynie tem pragnieniem słodyczy, których czara duszkiem się wypija, nie taki początek mają: nie w takiej objawiają się postaci, i baronowa dodaje:— „Są to dwie miłości zupełnie różnego rodzaju, rzadko też następują po sobie, a nigdy już nie jednoczą się razem w sercu ludzkiem. W miłości namiętnej wszystko jest upojeniem i szałem, zapomnieniem wszelkich względów, nieznoszeniem żadnego przymusu; w miłości serdecznej, która jest czułością trwałą, dzieje się przeciwnie: delikatność, względność i uszanowanie, łączą się w jedną tkliwość, słodką i łagodną, choć jest gorącą i głęboką. Miłość, która szczęścia używa przez to, gdy szczęście daje: to dopiero miłość prawdziwa — miłość będąca cnotą serca.

Baronowa widzi w uczuciu prawdziwej miłości nietylko siłę, która uszczęśliwia, ale siłę, która podnosi, i pojęcia jej pod tym względem dają się streścić w dwuwierszu starego naszego poety:

Ktokolwiek czuć jest zdolny prawdziwe kochanie,
Albo już jest poczciwym, albo się nim stanie.

Zostawiając na boku to, co w książce jest polityką i może obchodzić głównie francuzkiego czytelnika, jako rzecz miejscowego interessu, moralna strona pamiętnika baronowej Orhamp, mieści bardzo wiele dobrych i rozumnych spostrzeżeń nad życiem, bardzo wiele rad i przestróg pożytecznych: ziarn mądrości, z których coś jeszcze podamy czytelnikom naszym.

Sprostowanie.

W poprzednim numerze „Bluszczu“ w artykule „Drobne listki“, skutkiem usunięcia paru wierszy, zaszły pomyłki, i tak: w 7 wier. zamiast okrutny Marek Torelli, powinno być „z ramienia Florencyi rządzący nią Barnaba Spinola;— w wierszu 10 zamiast Torelli, powinno być „Spinola“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 10-ty powieści p. t.: **Widmo szczęścia**.

TREŚĆ. **Pogawędka**. — Do młodości (poezya), przez Miriama. — **Król Agis**, dramat, (dalszy ciąg), przez Juliusza Słowackiego. — **Ktoś**, powieść, (dalszy ciąg). przez J. I. Kraszewskiego.— **Henryk Martin** (Wspomnienie). —**Ruch muzyczny**, przez Juliusza Stattlera.—**Romantyzm we Francyi**, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — **Korrespondencya zagraniczna**, Wiedeń, (dalszy ciąg). — **Smutki i Uśmiechy**, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Января 1884 года.